

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

KSIĘGA I.

D Y M.

I.

NIEPEWNE KROKI.

1

Księżyc płynął wysoko na niebie, lecz groźne chmury, zapowiedź śniegu, nadciągały z boku. Patrzyłem na te chmury, sunąc szalonym, karkołomnym pędem po śniegiem ubitej drodze. Ominął mnie przed chwilą cel, najgoręcej upragniony w życiu, bezcenny skarb, którego pożądałem całym moim sercem. A że nie umiałem panować nad sobą, zawód doznany rozstroił mnie doszczętnie.

Księżyc, który groziła zasnąć lada chwila nawala nadciągających chmur, wydawał mi się odbiciem duszy mej i tego chaosu, który w niej wrzał, to też patrząc nań ciągle, jechałem przed siebie, nie bacząc na kierunek drogi; lecz nagle widok znajomej okolicy przestrzegł mnie, że dalszą drogę do domu obrałem i że za chwilę minę Dom pod Szumiącymi Sosnami, nasz okoliczny dom klubowy.

To nie ja obrałem tę drogę; to koń mój ją obrał; on mnie tak często woził tutaj, a nie mógł przecież wiedzieć, że sezon się skończył i że klub zamknięty. Ja sam nawet w danej chwili nie pomyślałem o tem i już nawet zastanawiałem się w rozterce ducha, czyby nie wstąpić i w dzikiej pijatyce nie utopić rozczarowania — gdy nagle z jednego z rysujących się na niebie kominów dojrzałem wzbijające się ku górze cieniutkie pasmo dymu. Drgnąłem i w jednej chwili wróciła mi pamięć. Skąd ten ślad życia w domu, który ja sam dzisiaj jeszcze zamknąłem i zaryglowałem?

Byłem prezesem klubu i poczułem się odpowiedzialnym. Zatrzymawszy się tyle tylko, by się upewnić, że to nie złudzenie i że istotnie pali się ogień gdzieś w którymś z opuszczonych klubowych pieców, wjechałem w jedną z bocznych bram. Z przyczyny, której wyjaśniać nie potrzebuję, nie miałem dzwonek przy sankach, to też zajechałem cicho zupełnie. Starałem się cicho zajechać, umyślnie też przystanąłem trochę opodal drzwi wchodowych i konia z sankami ukryłem w ciemnej gęstwinie sosnowego lasu, przytykającego z obu stron do ścian budynku. Pewien byłem, że coś niewłaściwego dzieje się w obrębie tych murów, ale Bóg widzi, że nie wiedziałem, co się stać mogło, ani jak głęboko tym moim krokiem własny los mój narażałem.

Klub nasz stoi, muszę to przypomnieć, wśród gęstej kępy starych drzew, jak to już wspominałem. Drzewa te, sosny niezwykle wielkie i wyrosnięte, sięgają tylko po tyły domu — dalej zaś ciągnie się obszar gruntu lekko falistego, który od wczesnej wiosny do późnej jesieni służy amatorom za teren do gry w golf. Teraz to wszystko — i ścieżki i kwietniki — leży pod białą zasłoną zimowego śniegu, a nawet sam budynek z malowniczymi daszkami i załamaniem i rzędem ciemnych teraz okien ginie w cieniu starych sosen, które chwileją się ponad nim i stykają się gałęziami nad jego dachem, szumiąc i ięcząc z przeraźliwym smutkiem.

Żaden inny dom tam nie stał w promieniu kilometra. Był to prawdziwie wiejski klub, wesoły i pełen życia w sezonie, ale niewymownie samotny i opuszczony, skoro tylko nastawała zima i grzebała kwiaty i liście pod białym, nietkniętym całunem śniegu.

Odczułem to osamotnienie i tę pustkę, wyszedłszy z pod drzew i gotując się przejść kilkanaście kroków odkrytej przestrzeni przed głównymi drzwiami. Ogarnęły mnie nagle zupełne ciemności, gdyż chmury teraz zakryły tarczę księżyca. Pogłębiło jeszcze to wrażenie mój i tak rozpaczliwy nastrój.

W innym usposobieniu będąc, byłbym się może dobrze namyślił, nimbym do drzwi sięgnął. Jednakże szalejąca we mnie rozpacz zawodu gasiła wszelką trwogę. Rad byłem prawie, że czeka mnie może jakaś niezwykła przygoda i szedłem prosto przez śnieg, aż dotknęłem nogą pierwszych stopni schodów. Tu przystanąłem i z obu stron szybkim spojrzeniem ogarnąłem budynek od góry do dołu. Żaden promyczek światła nie błyskał z żadnego okna.

Nastłuchiwałem, ale nie słyszałem nic. Nastłuchiwałem jeszcze. Żadnego odgłosu. Wszedłem tedy śmiało po schodach i dotknąłem ręką drzwi.

Drzwi były odemknięte i wnet ustąpiły za do-

tknięciem. Mniejsza o ciemność, mniejsza o ciszę, tam wewnątrz był ktoś. Ogień, który cienkie pasmo dymu wysnuł w księżycową noc, palił się jeszcze na jednym z licznych kominków, a przy tym ogniu wnet ujrzę...

Kogo? Co?

Nie bardzo mnie to zaciekało.

Wszedłem tymczasem i starannie drzwi zamknąłem za sobą. Czyniąc to, mimowoli raz jeszcze wyrząłem. Niebo czarne było, jak atrament, a parę luźnych płateczków śniegu z nadciągającej teraz zadymki nadleciało z wiatrem, klując w policzki i czoło.

Znalazłszy się raz wewnątrz sieni, przystanąłem, może potrosze, żeby jeszcze raz posłuchać, a może ażeby się zastanowić, co dalej czynić należy. Cisza była głęboka. W wielkim, pustym budynku nie rozlegał się żaden odgłos. Kroki moje, gdy się poruszyłem, budziły dziwne echa. Zrobiłem zaledwie parę kroków, ale własnym moim podnieconym zmysłem wydało się, że to łoskot, co zmarłego by obudził.

Mimowoli przystanąłem i stałem cicho na miejscu. Ciemności, cisza dokoła. Ciemności jednak nie były bezwzględne. Oswoiwszy się z niemi, mogłem rozróżnić zarysy okien i miejsce, gdzie zaczynały się schody i łuki bocznej sieni. Potrafiłem też dorzeć miejsce, gdzie wisiały wielkie jelenie rogi ponad wieszadłem; po chwili i samo wieszadło udało mi się rozeznąć, a na niem rząd haków, wczoraj tak przeciążonych, dziś pustych zupełnie. Interesowało mnie to wieszadło — sam nie wiem dlaczego — i nie bacząc na hałas, który robiłem, przeszedłem tam i ręką przesunąłem po ścianie popod hakami.

Przejął mnie nieoczekiwany rezultat... Na jednym z haków wisiał paltot męski i męska czapka.

Jako prezes klubu znałem moje obowiązki. Wiedziałem, że o tej porze w tym domu nikt być nie powinien — i że też nikt tu być nie może... w uczciwych zamiarach.

Jakaś niejasna a nieczysta sprawa musi być na dnie tych tajemniczych odwiedzin w tem zamkniętym na zimę domostwie. Czy po tym paltocie i po tej czapce poznaję tego, który wszedł?

Chciałem od razu zaświecić światło i przekonać się. Miałem z tem jednak trudności. Gaz odkręcono właśnie dziś rano, a ja nie miałem zapalek w kieszeni. Przypomniałem sobie jednak, gdzie je mogę znaleźć. Widziałem je, przechodząc rano przez kuchnię. Łatwo je było dostać z tego miejsca w sieni, gdzie teraz stałem. Trzeba tylko wymacać drogę przez sionkę i przez korytarzyk, a natrafię na drzwi kuchni.

Posunąłem się tedy w tę stronę i wróciłem zaraz na palcach, niosąc pudełko z zapalnikami w ręku. Zapalnik jednakże nie zaświeciłem. Właśnie chciałem to uczynić, gdy najwyraźniej usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi gdzieś w domu. Więc też co żywo schroniłem się do ustromej i cichego kąci i postanowiłem czekać. Ten mój kącik był w głębi sieni, po prawej stronie schodów, odgłos zaś otwierania drzwi płynął z góry.

Zaledwie zdążyłem zająć moją placówkę, gdy przez ciemności w górze przedarł się słaby błysk i dały się słyszeć kroki, idące od strony jednego z licznych małych pokoi na drugim piętrze; kroki te jednak były tak powolne i tak wyraźnie chwiejne, że miałem czas wytworzyć sobie rozmaite przypuszczenia. Więc raz zdawało mi się, że słyszę kroki pijanego, który niepewnie szuka wyjścia z nieznanego sobie miejscowości, to znów, że zbliża się, skradając, ktoś, kto ma słuszny powód do strachu i wie o mojej obecności równie dobrze, jak i ja wiem o nim.

Tymczasem światło zwiększało się z każdym krokiem, a mnie coraz większy ogarniał niepokój. Nagle jednak chwiejne kroki przystanąły, a uszu moich dobiegło ciche łkanie, wydarte widać tak okropnym bólem, że sam przejęty własnym udęceniem, drgnąłem, wstrząśnięty nieopisanym lękiem. Niegodnym popędem tchórzostwa gnany, już, już gotów byłem uciekać... Wtem jednak dobiegł mnie jeszcze jeden jęk i kroki znowu zaczęły się posuwać. Bezpośrednio potem ukazała mi się na schodach młoda dziewczyna, trzymająca lichtarz w jednej ręce, a drugą zasłaniającą lewy swój policzek.

Rzadko komu życie tak piorunujące wstrząśnienie gotuje, jak mnie zgotowało w tej chwili... Usłyszawszy łkanie, przygotowany byłem na widok kobiety — nie tej kobiety jednakże... Tej ja dziś nigdzie nie spodziewałem się ujrzeć — po tem, co zaszło pomiędzy nami, po tem, co życie moje zdruzgotało...

I to tu, w tem miejscu tak odległem i tak opu-

stoszałem, gdzie ja sam zaledwie ośmieliłem się wejść! Cóż mogłem sądzić? Jak mogłem pogodzić ten fakt niepojęty z tem, co wiedziałem o jej przeszłości i z tem, czego się od niej w przyszłości spodziewałem?

Chcąc opanować zamęt uczuć i głowy, starałem się patrzeć na nią, na jej dobrze mi znajome kształty i rysy, jak na kogoś obcego mi zupełnie; starałem się zrozumieć ją, osądzić. Kochałem ją, jak się kocha kobietę, ale w tej chwili, śledząc chwiejne i niepewne jej kroki, zobaczyłem jasno, że tylko to wzburzenie, które jej twarz nienaturalnym wyrazem powleka, nadając jej cechę dojrzałej kobiety; że rysy jej, ruchy i dziecięcy wyraz policzków świadczą, że to dziewczętko dopiero — wczoraj dziecko jeszcze...

Ale — o jakżeż była piękna! Nie często się widuje takie piękności. Choć szpeciło ją to straszne wzburzenie, twarz jej jaśniała tym szczególniejszym urokiem, który posiadają je tylko, których sądzono zbawiać lub gubić mężczyzn. Urodziła się, by władczyńią być w tem królestwie. Takiej władzy nikt się nie oprze, nawet teraz już, choć ona ma lat siedemnaście zaledwie... To było jasne na pierwszy rzut oka.

Co mi jednakże nie było jasne, mnie nawet, który dobrze wiedziałem, co zaszło pomiędzy nami w ostatnich godzinach — to dlaczego jej uczucia tak wyprzedziły lata, dlaczego jej wzruszenie doszło do takiej głębi. Jakiś lęk okropny, jakaś straszliwa groza musiała na nią czyhać w tym ustronnym domu. Prosty żal innym przemawia językiem, prosty żal nie wykrzywia tak rysów, nie podcina kroków, nie zgębia w ten sposób młodej postawy.

Co się stało tam na górze? Uciekła przedemną, by natrafić — na co?

Nie śmiałem pytać, nie śmiałem się ruszyć, oddychać nawet nie śmiałem; ona zaś nawet nie spojrzała w moją stronę, zeszedłszy zaś na najniższy stopień, przystanąła, chwilejąc się z bólu, czy w niepewności. Teraz lepiej widziałem twarz jej, bardziej ku mnie zwróconą i już zacząłem doczytywać się w niej czegoś więcej, oprócz tragicznej piękności, gdy nagle dreszcz nią zatrzęsł i szybkim ruchem zagasiła świecę.

Cudne widzenie piękności, a potem ciemność i cisza — gdyż przez dłuższą chwilę żadne z nas ani nie drgnęło. Lecz nagle usłyszałem jakiś trzask a za tem odgłos uciekających stóp.

Rzuciła na ziemię lichtarz, trzymany w ręku i szybko biegła przez sieni. Przycisnąłem się do ściany, myśląc, że może ona w tę stronę pobiegnie. Tymczasem zatrzymała się gdzieś dalej, słyszałem, że ręką maca wzdłuż ściany i że nagle rzuciła się kn drzwicom. Drzwi się otwały i wtargnął zimny wiatr. Poczułem na twarzy chłód śniegu i poznałem, że zamieć szaleje. A potem znowu ciemności i cisza. Wysunęła się szybko, drzwi zatrzęsły się za nią.

Posłyszałem chrzęst klucza, obracanego w zamku, posłyszałem to i nie odezwałem się nawet. Jak zakłęty stałem, jak urzeczonej.

Niebawem jednak wróciła mi przytomność. Zrozumiałem, że wyjszcie mam zamknięte, a tu mnie lęk ogarnął. Dziewczyna wybiegła bez żadnego okrzyku, z odśloniętą głową, a ja przecież wiedziałem, jak zimno na dworze. Muszę iść za nią, muszę ją dogonić, muszę uchronić ją przed tą śnieżycą!... Do miasta daleko, mroź ją przejmie, może osłabnąć, upaść — a wtedy wiatr i śnieg dokonają dzieła.

Rzuciłem się do drzwi, wstrząsnąłem niemi gwałtownie. Nie poruszyły się nawet. Skoczyłem wtedy do okna i zacząłem się z niem mocować, przymarzło bowiem do ramy, lecz nagle posłyszałem jakieś stuknięcie; włosy stanęły mi dębem i cała moja uwaga wróciła znowu do tego, co jest poza mną i co ponademną?

Był jeszcze ktoś w tym domu... Zapomniałem o tem na widok dziewczęcia, ale ten trzask, krótki, ostry, nazbyt daleki, bym go mógł zrozumieć, obudził wątpliwości moje i straszny niepokój. Czuję, że teraz muszę cały dom przyszucać.

Zagadkowe odkrycie, znalazłem Karmelę Cumberland samą w tem pustkowi!... trudno to zrozumieć, trudno się z tem pogodzić. Ale Karmela tutaj w towarzystwie innego mężczyzny, w tej chwili właśnie, kiedy ja się spodziewałem ziszczenia moich marzeń — nie, tę wątpliwość rozstrzygnąć muszę natychmiast. Choć taka biedna przesunęła się przedemną i z tak wymownym wyrazem męki, nie jej, tak mi drogiej, szukać będę najpierw, nie, nie jej, ale jego! On — ten, który się kryje poza tem wszystkim, który może jest winien mojemu cierpieniu — kimże on jest? Nawet na domysł nie wpadam...

Szukając drogi sunąłem w dół ściany, aż wre-